

Muszę zaznaczyć, że nie podzielał opinii Kornela Morawieckiego na temat Rosji, a jego marzenia o Europie od Atlantyku po Pacyfik uważam za utopię, a nawet niedorzeczność. Dla mnie ZSRS był przede wszystkim kolejną mutacją ruskiego imperializmu, a Rosja współczesna, upudrowana jedynie fasadowymi pozorami wolności i demokracji, jest tożsama ze swoimi poprzednikami, agresywnymi i wrogimi Polsce wcieleniami.

Kornel Morawiecki uważa inaczej. Jego zdaniem ekspansywne więzienie narodów, jakim był ZSRS, było więzieniem także Rosji. Dlatego po agresji na Afganistan stanowczo przeciw najazdowi temu protestował, starając się do tego samego zmobilizować całą ówczesną opozycję. W styczniu 1980 r. bezskutecznie do zajęcia stanowiska w sprawie agresji na Afganistan wzywał m.in. na jednym z posiedzeń Komitetu Obrony Robotników. W 1981 r. za „podważanie sojuszu z ZSRS” został aresztowany i stanął przed sądem. ZSRS i Rosja to jednak dla niego nie to samo. Imperium sowieckie wdęptywał w ziemię w całej masie swoich artykułów. Jako jeden z naczelnych celów w programie Solidarności Walczącej umieszczał zniszczenie Związku Sowieckiego i wolność wszystkich ciemiężonych przez ZSRS narodów. Włącznie z rosyjskim, jego zdaniem także przez ZSRS zniewolonym. Kulturę Rosji ceni, zaczytując się w jej literaturze, wielbiąc muzykę Prokofiewa czy Strawiańskiego. Jednym z jego najbliższych przyjaciół zostali najwspanialszy z Rosjan – Władimir Bukowski, Mikołaj Iwanow, a Natalii Gorbaniewskiej, której wiersze zna na pamięć, powierzył rolę honorowego redaktora „Biuletynu Dolnośląskiego”.

Moim zdaniem Bukowski, Iwanow czy Gorbaniewska nie stanowią emanacji Rosji i rosyjskości, lecz ich zaprzeczenie. Zdaniem Kornela Morawieckiego jest inaczej – Bukowski, Gorbaniewska i inni dysydenci uzasadniają nadzieję na przemianę Rosji w kraj, z którym będzie można się porozumieć.

Chciałbym, żeby to Kornel Morawiecki miał rację. Ja nadziei takiej nie mam. Wielokrotnie dawałem temu wyraz także na łamach „Gazety Obywatelskiej”. W tym kierowanym przez Kornela Morawieckiego periodyku putinowską Rosję definiowałem jako napastliwą azjatycką satrapię i opowiadałem się za usunięciem wszystkich pomników poświęconych armii sowieckiej. Nigdy nie spotkałem się z sytuacją, w której uniemożliwiono by opublikowanie w „GO” artykułu z powodu jego niezgodności z poglądami redaktora naczelnego. Przeciwnie – teksty jaskrawo sprzeczne z jego opiniami zamieszczane były niezliczoną ilość razy.

Kornel Morawiecki pozostał wierny także temu z celów, walce o które

W poprzednim numerze został opublikowany artykuł – istny wulkan agresji, wycelowanej w Kornela Morawieckiego. Za punkt zaczepienia autorka obrała wypowiedzi marszałka seniora na temat Rosji, ale zasadniczy wątek tekstu to usilne odzieranie niegdysiejszego przewodniczącego Solidarności Walczącej z historycznej roli, jaką odegrał w latach osiemdziesiątych.

Ślepy o kolorach

czyli Jadwiga Chmielowska o Kornelu Morawieckim

ARTUR ADAMSKI

poświęcił wielką część swojego życia – nieograniczonemu prawu każdego człowieka do głoszenia każdego poglądów. Nawet przez wszystkich innych uważanych za w największym stopniu niesłuszne czy szkodliwe. O tym wielkim marzeniu ludzi podziemia lat komunizmu większość dziś zapomniała. Wzorem pookrągłostołowych mediów wielu uzurpuje sobie prawo decydowania o tym, co głosić wolno, a co nie. Kornel Morawiecki o pełnym prawie do wolności wypowiedzi nie tylko nie zapomniał, on w sposób rzeczywisty je realizuje.

Przyczynkiem, mającym uzasadniać kolejną z długiej już serii prób wykreowania biografii Kornela Morawieckiego i Solidarności Walczącej w całkowitej sprzeczności z najsolidniej nawet udokumentowanymi faktami ma być pogląd, według którego niegdysiejszy przewodniczący tej organizacji nie ma prawa wypowiadać opinii niezgodnych z zasadami i celami tej organizacji. Czy jednak, 27 lat po formalnym jej rozwiązaniu, zasadne jest oczekiwanie zgodności poglądów przewodniczącego i członków organizacji, której historia została zakończona w roku 1991? Utworzone w roku 2008 Stowarzyszenie Solidarności Walcząca w żadnym stopniu nie jest już formacją polityczną. Przeciwnie – jego członkami są osoby związane dzisiaj zarówno z jedną, jak i drugą stroną współczesnego polskiego sporu.

W swoim artykule Jadwiga Chmielowska tak bardzo pragnie zniszczenia wizerunku Kornela Morawieckiego, że aż sama nie potrafi się zdecydować, który wariant obrzydliwego portretu lepiej będzie temu celowi służyć. Zaczyna od scharakteryzowania go jako człowieka „słabego i ulegającego wpływowi”, by już po chwili temu zaprzeczyc stwierdzeniem, że on „nie słucha nikogo”. Neguje rolę Kornela Morawieckiego w budowaniu i kierowaniu Solidarnością Walcząca, wymieniając osoby jej zdaniem niewspółmiernie bardziej w dziele tym zasłużone. Przywołuje postacie niezycujących już ludzi, jakby sugerując, że przychyliłby się do jej opinii.

Z przywoływaniem przez nią Janem Pawłowskim prawdopodobnie

nie spotkała się w swoim życiu nigdy. Ten twórca Kontrwywiadu SW przez dziesięciolecie był jednym z najbardziej oddanych przyjaciół Kornela Morawieckiego, kolegą z jednego pokoju w tym samym instytucie. Pomyśl, że śp. Pawłowski mógłby podzielić wersję Chmielowskiej, dla każdego, kto go znał, musi być skrajnym nonsensem. W końcu na rzeczywistego przewodniczącego SW namaszcza Andrzeja Zaracha – w istocie postać w tej historii wybitną. Spotykając się z takim „nadaniem z rąk Chmielowskiej”, jak

Jednym ze skrajnych nonsensów jest zarzucanie Kornelowi Morawieckiemu sprzeciwu wobec lustracji. Protestował przeciw niszczeniu archiwów, jako pierwszy w 1992 roku opublikował tzw. listę Macierewicza (z nazwiskami L. Wałęsy i W. Chrzanowskiego).

i całą jej kuriozalną narracją, wszyscy członkowie przywódczych gremiów Solidarności Walczącej zapewne popukaliby się w głowę. Włącznie z samym Andrzejem Zarachem (niniejszy tekst prześlę każdemu z rzeczywistych członków Rady i Komitetu Wykonawczego Solidarności Walczącej – ciekawe, czy choć jeden z nich będzie miał inne zdanie?).

Gdyby Chmielowska choć raz uczestniczyła w którymś z setek posiedzeń przywódczych gremiów Solidarności Walczącej, to by wiedziała, że dzisiejszy profesor Andrzej

Zarach bardzo konsekwentny był w argumentowaniu za fundamentalną zmianą struktury organizacyjnej, która według jego propozycji miała mieć kształt bardziej scentralizowany. Zwyciężyła jednak koncepcja, o której sama Chmielowska pisze, choć ze zdumieniem stwierdzam, że najwyraźniej do dziś nie rozumie jej istoty. To, co prof. Andrzej Kisielewicz (działacz SW, matematyk) nazwał strukturą fraktalną, a prof. Andrzej Myc (działacz SW, biolog) strukturą glonu – dziś określane jest jako struktura zarządzania zdywersyfikowanego. Chmielowska interpretuje to jako stan, w którym „nikt nie kieruje”. Trudno o bzdurę większego kalibru. Z samej istoty rzeczy ten model zarządzania wymaga przywództwa wprost nadzwyczajnej jakości, lidera – najwyższej próby. Bo jak to się w ogóle stało, że organizacja złożona z setek rozsypanych po Polsce i nie tylko Polsce autonomicznych ogniw, zrzeszająca ludzi nie tylko o bardzo różnych charakterach, ale i rozmaitych poglądach, do której rozbicia ze wszystkich sił dążyły wszystkie służby PRL-u – zachowała spójność, a pierwszą osobą, próbującą podważyć przywódczą rolę jej lidera, okazała się być dopiero Jadwiga Chmielowska?

Pól konfliktu przecież nie brakowało. Program SW zakładał np. pogodzenie się z powojennymi granicami, a w strukturach były setki ludzi za swój dom ciągle uważających Lwów lub Stanisławów. Mowa w nim była o zjednoczeniu Niemiec, a wielu (włącznie ze mną) zawsze uważało, że Niemcy ostatecznie udowodnili, że na prawo do zjednoczonej państwowości nie zasługują. W 1986 SW wyemitowała serię znaczków, na których był m.in. symbol ukraińskiego tryzuba, przez setki działaczy SW kojarzonego przede wszystkim z rzeziemi, w których wymordowano ich rodziny. Jak to się więc stało, że pełna tych i wielu innych sprzeczności organizacja zachowała jedność? Odpowiedź jest właśnie w modelu tegoż przywództwa, w ciągłym dialogu, zapobiegającym wszelkim tendencjom odśrodkowym.

Żeby dotrzeć do ukrywającego się

Kornela Morawieckiego, trzeba było przejść przez szereg „śluz”, przemieszczać się według zaplanowanej trasy, umożliwiającej Kontrwywiadowi Solidarności Walczącej wychwycenie ewentualnej obserwacji przez służby reżimu. Spotkanie z każdym człowiekiem było skomplikowaną operacją, angażującą wielu konspiratorów. A jednak najbardziej ściągany człowiek w Polsce odbył spotkania z ponad tysiącem działaczy, od kilkadziesiątu odbierając organizacyjne zaprzysiężenie. Do tego dochodziły codzienne kontakty za pośrednictwem łączników, bezmiar konsultacji korespondencyjnej itd., itp.

Czy Solidarności Walcząca byłaby tym, czym była, gdyby na jej czele pojawił się ktoś o mniejszej empatii, ktoś mniej odległy od pospolitych skłonności do skłócania wszystkich ze wszystkimi? Píše Chmielowska o Barbarze Sarapuk, używając tytułu „królowa podziemnego druku”. Nie wiem, czy Chmielowska kiedykolwiek spotkała się z Barbarą Sarapuk, ale z kolejnym zdumieniem stwierdzam, że jej roli w organizacji Chmielowska także nie rozumie. Tak się składa, że to ja ukulem ten tytuł: „królowa podziemnego druku”. W latach konspiracji zorientowałem się w nadzwyczajnej roli, jaką odgrywała legendarna w strukturach Baska (mieszkałem zresztą tuż obok niej, byłem świadkiem pierwszego jej aresztowania). Nazwałem ją wtedy „królową druku”, a jej najbliżsi współpracownicy zgodnie ocenili, że to miano nadzwyczaj trafne. Tak ją nazywałem w późniejszych, poświęconych jej artykułach, w relacjach sporządzanych w projektach IPN-u. Wbrew temu, co sugeruje Chmielowska, Barbara Sarapuk nie zarządzała jednak drukiem całej Solidarności Walczącej! Kierowała tylko jego częścią, ale robiła coś znacznie bardziej doniosłego: stała na czele wielkiego, kaskadowego systemu szkół konspiracyjnego drukowania. Uruchomiła i ciągle napędzała istną lawinę szkoleń, formującą wciąż nowe i nowe zastępy nie tylko drukarzy, ale świetnych instruktorów różnych technik konspiracyjnej poligrafii.

Chmielowska próbuje też podważyć zawartość książki I. Jankego, twierdząc, że składa się ona z mitów. Być może tak jest z rozdziałem powstałym z jej własnej opowieści o miłym pułkowniku LWP, adorującym ją od momentu wspólnej podróży pociągiem. „Historyczność” tego wątku rzeczywistości opierać się może tylko na relacji tych obojga. Zdecydowana większość *Twierdzy* oparta jest jednak nie na opowieściach pojedynczych osób, lecz stanowi zbeletryzowaną transpozycję dokumentów tak precyzyjnych, że często umożliwiających wskazanie nie tylko miejsc, nazwisk, dat, ale nawet godzin danego zdarzenia.

Jednym ze skrajnych nonsensów jest zarzucanie Kornelowi Morawieckiemu sprzeciwu wobec lustracji. Nikt

nie domagał się jej równie konsekwentnie jak on. Protestował przeciw niszczeniu archiwów, jako pierwszy (i długo – jedyny) w 1992 roku opublikował tzw. listę Macierewicza (z nazwiskami Lecha Wałęsy i Wiesława Chrzanowskiego). Zawsze był orędownikiem badania źródeł informacji, jakimi dysponowały służby. Głośno opowiadał się za zwolnieniem z PRL-owskiej przysięgi funkcjonariuszy służb specjalnych i za prawnym nakazem świadczenia przez nich prawdy o pracy w służbach. Już w czerwcu 1992 organizował w Warszawie i innych miastach cykliczne demonstracje pod hasłem „Agencji muszą odejść!” Uczestniczyli w nich przede wszystkim członkowie i sympatycy Solidarności Walczącej, lecz niestety – prawicowi parlamentarzysci, członkowie gabinetu premiera Jana Olszewskiego nie brali w nich udziału (pytałem wielu organizatorów i uczestników – zaprzeczają uczestnictwa w tych demonstracjach także Jadwigi Chmielowskiej).

Mało kto równie wcześnie jak Kornel Morawiecki wskazywał na to, że same akta SB to nie wszystko, że agenturę często jeszcze groźniejszą, na wielką skalę, m.in. pod szyldem uczelni wojskowych, werbowały właśnie służby wojskowe, dotknięte pierwszą weryfikacją dopiero w roku 2006. I nie miał też złudzeń co do zakresu działań służb sowieckich, totalnie kontrolujących każdy zakątek nie tylko swojego państwa (przypomnijmy, że ich następca, rosyjskie FSB, ma dziś 700 tys. etatowych pracowników!).

Jadwiga Chmielowska, jako uczestniczka konspiracji lat osiemdziesiątych, mogłaby być źródłem relacji, być może cennych dla polskiego doświadczenia. Jednak to, z jaką łatwością przychodzi jej stawianie na głowie najbardziej oczywistych faktów, bez troska wyczarowywania absurdałnych wersji historycznej rzeczywistości, a do tego furia, z jaką miota krzywdzące oceny – w oczywisty sposób nadwyręza wiarygodność jej przekazu. Mogłaby być źródłem wiedzy o wielu wydarzeniach, których była świadkiem czy uczestniczką. Po tej skali konfabulacji, jakich nie zawahała się użyć, tworząc skrajnie odrealnioną historię Kornela Morawieckiego, jej wypowiedzi tracą jednak faktograficzną wartość. ■

ARTUR ADAMSKI – AUTOR WYWIADÓW Z KORNELEM MORAWIECKIM, W TYM WYWIADU-RZĘKI, KTÓRY UKAZAŁ SIĘ W POSTACI KSIĄŻKI, ORAZ KILKU ARTYKUŁÓW NAUKOWYCH O DZIAŁALNOŚCI K. MORAWIECKIEGO.

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**